

MEGHAN QUINN

BESTSELLEROWA AUTORKA
USA TODAY

POCALUNKI *zamiast* SŁÓW



VANCOUVER
AGITATORS:

MIŁOŚĆ NA LODZIE #1



Tytuł oryginału: Kiss and Don't Tell (The Vancouver Agitators #1)

Tłumaczenie: Marcin Kuchciński

ISBN: 978-83-289-2267-9

Copyright © 2021. KISS AND DON'T TELL by Meghan Quinn

The moral rights of the author have been asserted.

Translation copyright © 2025 by Helion S.A.

Cover Design By: RBA Designs; Cover Illustrations By: Gerard Soratorio

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

editio.pl/user/opinie/pocva1

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: *editio@editio.pl*

WWW: *editio.pl* (księgarnia internetowa, katalog książek)

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

1

Pacey

– Psujesz nastrój, stary – zauważa Hornsby, siedząc w basenie. – Nie zmuszaj mnie do tego, bym zachował się jak mój własny stary i wyłączył ci wi-fi.

Ignoruję go i raz jeszcze oglądam filmik. Zwód w lewo, skręt w prawo, strzał w lewe okienko... i bramka!

To proste.

Każdy nastolatek może zrobić taki trik. Nie nazwałbym tego nawet trikiem – to hokejowe abecadło.

A jednak nie udało mi tego powstrzymać.

– Możesz sobie to oglądać w nieskończoność. Przecież to i tak już niczego nie zmieni – zauważa Taters, nasz prawoskrzydłowy.

– Ale jak, pytam, *jak* nie udało nam się tego wyblokować? – Odkładam telefon na leżak i odchylam się do tyłu, przeczesując dłonią włosy. – To było takie prymitywne zagranie, a ja pozwoliłem mu puścić sobie krążek obok ręki.

– Cóż, to nie przez ten jeden strzał straciliśmy play-offy – zauważa Taters. – Każdy z nas miał udział w tej porażce.

Tak, ale to ten gol zdecydował o zwycięstwie, co oznacza, że wina spoczywa na moich barkach.

– Teraz już nic nie możesz na to poradzić – mówi pocieszającym głosem Eli Hornsby, najprzystojniejszy obrońca w lidze. Zakłada ręce za głowę i odchyla się do tyłu w geście, który jasno daje do zrozumienia,

że on już zaakceptował przegraną i teraz zamierza pozwolić sobie na relaks. Nie rozumiem go. Ja wciąż nie mogę przeboleć tej porażki i odpadnięcia z play-offów. – A jaka jest zasada numer jeden, gdy jesteśmy w domku? – kontynuuje.

– Zero hokeja – przypomina Posey, po czym bierze rozbieg i skacze na bombę do basenu.

Każdego lata, po sezonie, cała nasza paczka wyjeżdża do Banff w Kanadzie, do domku Silasa Tatersa – cóż, to prawdziwa rezydencja, ale my nazywamy to „domkiem” – i się wyluzowujemy. Zapominamy o hokeju, cieszymy się słońcem i malowniczymi górami i po prostu... się objamamy.

To miejsce jest do tego idealne: ze wspaniałymi widokami na kanadyjskie Góry Skaliste, z małomiasteczkową atmosferą Banff, z dala od zgiełku Vancouver i w odpowiedniej odległości od jakiegokolwiek obiektu treningowego – poza wartą milion dolarów siłownią w „piwnicy” tego „domku”.

Ale w tym roku nie jestem w nastroju do relaksu. Byliśmy tak blisko... Tak cholernie blisko naszego trzeciego mistrzostwa. Bardzo chciałem je zdobyć. Nie wiem, ile będę jeszcze grał, a teraz, kiedy byliśmy o włos od awansu do finału, szansa na to, by wznieść Puchar Stanleya nad głowę i objechać z nim całe lodowisko, pokazując wszystkim, że moja drużyna, Vancouver Agitators, jest najlepsza... O kurwa, jak to boli...

Naprawdę myślałem, że w tym roku się uda. Byliśmy pewni zwycięstwa.

Sprawdzona drużyna, gotowa na wyzwania.

Byliśmy faworytami.

Spieprzyliśmy to jednak koncertowo.

Jak oni mogli się tak łatwo pogodzić z takim zakończeniem sezonu?

– Krzywisz się – zauważa Taters, chlapiąc wodą w moim kierunku.

Silas Taters, nasz szybki jak wiatr prawoskrzydłowy, ma obecnie własne problemy, w co na razie nie zamierzam się zagłębiać, ale jakoś nie przeszkadza mu to w rzucaniu złośliwych komentarzy i prowokowaniu innych – z czego jest znany i co też robi naprawdę dobrze. Dołączył do drużyny w tym samym roku co ja i doskonale wiem, że

zależało mu na tym zwycięstwie co najmniej tak samo jak mnie. Więc albo dobrze udaje, albo naprawdę potrafi oddzielić różne sprawy.

– Idę po drinka – oznajmiam, podnosząc się z leżaka.

– Skoro tak, to bądź dżentelmenem i przynieś wszystkim po jednym – ożywia się Hornsby.

Eli Hornsby, nasz drużynowy piękniś. Co tam drużynowy – gość jest najprzystojniejszym zawodnikiem w całej lidze. Idealne zęby, idealny nos, idealna twarz. Jest silny jak tur, uda ma jak skała, a do tego jest najbardziej napalonym na laski skurwielem, jakiego znam. Myślę, że spał chyba już z każdą w Vancouver, z dokładnością do kilku. Na treningach daje z siebie wszystko, ale potem imprezuje, sprawiając wrażenie, że to część jego pracy. I żre tak, jakby jutro mieli zamknąć wszystkie supermarkety. A następnego dnia powtarza to wszystko od nowa. Jego styl życia wywołuje u mnie jakiś niepokój. Dziwne, zważywszy, że to właśnie Eli zawsze próbuje mnie „rozluźnić”.

– Masz ochotę na mleko czekoladowe? – pytam.

Przyciska dłoń do umięśnionej klaty.

– Jak widzisz, mleko dobrze robi ciału, ale tym razem przynieś mi browarka.

Przewracając oczami, wchodzę do części domu przylegającej do basenu. Taters mówi, że to jest oranżeria, ale mnie się zdaje, że to niezbyt dobrze opisuje zwyczajne patio z krytym basenem oddzielone od domu przesuwными szklanymi drzwiami. Jest tu jednak przyjemnie, ponieważ kiedy drzwi są rozsunięte, ma się wrażenie, jakby się było na zewnątrz, a kiedy robi się chłodno, można włączyć ogrzewanie basenu, zamknąć drzwi i pływać sobie dalej.

Wchodzę do kuchni akurat w momencie, gdy Posey zatrząskuje lodówkę. Przyłapaną na gorącym uczynku – w zębach trzyma kawałek mortadeli, a w obu dłoniach dzierży po piwie.

Levi Posey, bezkompromisowy obrońca i absolutna bestia. Milutki miś w środku, ale brutalny diabeł na lodzie. Zderzenie z nim to jak wpadnięcie pod rozpędzony pociąg towarowy.

– Dlaczego jesz takie gówno? – pytam.

Wyjmuje mortadelę z ust i odpowiada:

– Szczerze mówiąc, myślę, że mam pewien problem, ale chyba nie chcę pomocy w jego rozwiązaniu.

Posey uwielbia mortadelę. Przed każdym meczem zjada kanapkę z tą wędliną i musztardą. A potem śmiga na swoich łyżwach z gracją tarana i burczeniem w brzuchu... aż przelatuje mnie dreszcz na samą tę myśl.

– To dla mnie?

Spuszcza wzrok na trzymane w dłoniach puszkę.

– Eee, nie. Oba wziąłem dla siebie.

– Więc wyświadczyć mi, proszę, przysługę i zanieść też po jednym Horny’emu i Tatersowi.

Wymijam go i otwieram lodówkę. Wszystkie półki zastawione są piwem – nawet szuflada z delikatesami, w której Posey trzyma swoją wędlinę. Zawsze sprowadzamy z miasta kucharza. Gość jest naprawdę super i często zostaje z nami na wieczór. Dziś też miał przyjechać i zrobić nam coś do jedzenia, dlatego lodówka jest obecnie zaopatrzona niemal wyłącznie w piwo.

Mnóstwo piwa.

Ten, kto by to zobaczył, mógłby dojść do wniosku, że ktoś tu ma problem z alkoholem. Ale to nieprawda. Sączymy piwko za piwkiem, rozluźniając się po długim sezonie.

Tak właśnie się relaksujemy.

I tak zapominamy.

Biorę puszkę i zamykam za sobą lodówkę. Rozglądam się po otwartym dole.

– Gdzie Holmes? – pytam.

– Wydaje mi się, że jest na balkonie. A przynajmniej tam widziałem go ostatnio – odpowiada Posey.

– Pił już coś?

– Nie, jeszcze nie.

Sięgam więc ponownie do lodówki, wydaję puszkę dla Holmesa i idę na górę. Zamierzam dołączyć do niego, bo – jak powszechnie wiadomo – smutki najlepiej pokonuje się w towarzystwie.

– Myślę, że on woli teraz być sam! – woła za mną Posey.

– A kiedy on nie chce być sam? – odpowiadam i wbiegam po dwa stopnie naraz.

Wszyscy single w naszej drużynie zawarli pakt, aby przyjeżdżać tutaj poza sezonem, kiedy pozostali koledzy spędzają czas ze swoimi rodzinami i z dziewczynami. W naszym przypadku to się sprawdza.

Szczególnie dla Holmesa, który faktycznie jest samotnikiem.

Znajduję go na balkonie, tak jak powiedział Posey, siedzącego na bujanym fotelu, z opadniętymi ramionami i wzrokiem skupionym na kolanach, zamiast na majestatycznym widoku gór przed nim.

Halsey Holmes – środkowy – nasz najlepszy strzelec, potrafi uderzyć tak mocno i niespodziewanie, że nie wiesz, że to zrobił, dopóki nie usłyszysz brzęczyka sygnalizującego zdobytą bramkę. To on ma na koncie najwięcej goli i asyst. I nawet jeśli poza lodowiskiem woli chodzić swoimi ścieżkami, to na lodzie jest spoiwem, które trzyma naszą drużynę razem. Dwa lata temu w wypadku samochodowym stracił brata bliźniaka, Holdena. Będąc jednym z trzech chłopców Holmesów grających zawodowo w hokeja, Halsey całkowicie odciął się od swojej rodziny, przestał interesować się normalnym życiem i skupił się wyłącznie na sporcie. Przyjeżdża do Banff tylko dlatego, że praktycznie go do tego zmuszamy. A kiedy stąd wyjedziemy, kolejno będziemy go wspierać – aż do początku następnego sezonu.

Otwieram moskitierę i wychodzę na balkon. Holmes nawet nie zadaje sobie trudu, by sprawdzić, kto do niego dołączył. Podaję mu puszkę, a on ją bierze.

– Mogę się dosiąść?

– Nie – odpowiada, otwierając piwo.

– Nie potrafię siedzieć tam teraz z nimi i udawać, że nie zawaliłśmy tych pieprzonych play-offów. – Gdy Holmes nic nie mówi, kontynuuję: – Minął już tydzień, a ja wciąż rozmyślam o tym ostatnim straconym golu.

– Zamarłeś – mówi, podnosząc puszkę do ust.

– Co? – pytam.

– Widziałem. Dokładnie w chwili, gdy Frederic wbił łyżwę w lód i zamierzył się do strzału, zeszywniałeś.

– Ja nie...

– Wciąż jest w tobie strach – kontynuuje Holmes, nie zważając na moje protesty i nie próbując nawiązać ze mną kontaktu wzrokowego. – A bramkarz nie może się bać. Podczas meczu twoje ciało nie należy

do ciebie, tylko do całej drużyny. Zachowujesz się tak, jakby ono wciąż było twoje, i to dlatego nie udało ci się obronić tego strzału. – Teraz ja się nie odzywam, a on dodaje: – Udowodnij, że się myłę.

I to w tym wszystkim jest właśnie najgorsze – nie mogę tego zrobić.

Jeden pieprzony strzał. Jeden strzał... a ja właśnie w tym momencie zamarłem.

Jestem bramkarzem i czasem po prostu powinienem stać w bramce nieruchomo. Ale czuję, że coś tu jest nie tak.

Podnoszę puszkę do ust i mówię:

– Nie potrafię ci udowodnić, że się mylisz.

To prawda.

Bo ja faktycznie w tamtej chwili zamarłem.

Kiedy zobaczyłem, jak Frederic wbija łyżwę w lód i zbiera się do strzału, strach popęzł mi w górę po karku, jak dzieje się zawsze, gdy spodziewam się prawdziwej bomby. Tyle że tym razem nie byłem dostatecznie szybki. Pozwoliłem strachowi zapanować nade mną.

W oddali słychać grzmot, który odbija się echem między szczytami gór. Błękitne dotychczas niebo szybko zmienia się w szare, a chmury przesuwają się w naszą stronę.

Zbliża się burza.

Jakby na zawołanie.

Pasuje do burzy, która wzbiera również we mnie.

– Nie wydaje mi się, żeby Stephan dał radę tu dziś dotrzeć – mówi Posey, siadając przy barze w kuchni z kolejnym plastrem mortadeli w dłoni.

– Musi. – Hornsby próbuje zaczarować rzeczywistość, zaglądając do lodówki. – Do jedzenia mamy tylko chipsy i krakersy.

– No i jest jeszcze mortadela – zauważa Posey. – Mogę zrobić kanapki dla wszystkich.

– Nikt tu nie ma ochoty na twoją cholerną mortadelę – mówię, a w brzuchu głośno mi burczy.

Burza przyszła szybko. Sieć komórkowa jest słaba i czasem zupełnie nie ma zasięgu, internet nie działa w ogóle, deszcz wali w okna

jak szalony, a błyskawice co chwila rozświetlają ciemne nocne niebo. I to nie jest byle jaka burza – z każdym grzmiotem czujesz, jak cały dom trzęsie się pod twoimi stopami.

Stephan to nasz kucharz – najlepszy, jakiego można wynająć w okolicy. Ale niestety, uważam, że Posey ma rację. Nie ma szans, by tu dziś dotarł. Dom znajduje się na szczycie stromego wzgórza. Kiedy leje tak mocno jak teraz, droga zmienia się w błotnistą ślizgawkę. Nawet półcieńczarówka Stephana nie byłaby w stanie pokonać wzniesienia.

– Przeżyję na ciasteczkach do rana – mówi Hornsby, biorąc paczkę.

Nagle jego oczy się zwężają. Zagląda do foliowego rękawa, który najwyraźniej okazuje się pusty, bo Hornsby kieruje wściekle spojrzenie na Poseya, a ten ucieka wzrokiem w bok.

– Co, do cholery, Posey? Zeżarłeś wszystkie krakersy?

– Dlaczego uważasz, że to ja? – Posey odpowiada pytaniem. – To równie dobrze mógł być Holmes.

– Ja nie zjadłem krakersów – zapewnia Holmes, nie ruszając się z kanapy, na której czyta książkę.

Posey naprawdę mógłby wybrać jakiegoś bardziej prawdopodobnego winowajcę. Holmes żyje jak pustelnik i nie zawracałby sobie głowy podjadaniem krakersów.

– Bo od rana tylko ty siedzisz non stop w kuchni – rzuca oskarżycielsko Taters, biorąc puste opakowanie z rąk Hornsby'ego. – No i kto, do cholery, odkłada pustą paczkę na miejsce? To mógł zrobić tylko jakiś palant.

– A skąd miałem wiedzieć, że będzie burza? Jeśli ktoś tu jest winny, to tylko TY, Taters. Jesteś gospodarzem i twoim obowiązkiem jest o nas zadbać. – Tu akurat Posey ma trochę racji.

– Ależ zadbałem. Załatwiłem wam Stephana.

Posey krzyżuje ręce na piersi.

– I właśnie widzimy, jak to wyszło.

Piorun uderza gdzieś w pobliżu i wszyscy aż wzdrygamy się pod wpływem potężnego, dudniącego dźwięku.

– Myślicie, że da się dojechać do miasta? – pytam.

Taters parska śmiechem.

– Jeśli masz ochotę zjechać jak na sankach po błotnistym torze, to proszę bardzo. W innym razie zalecałbym pozostanie w domu.

Cóż, zapytać zawsze można.

– Moje kanapki stają się coraz bardziej kuszącą alternatywą, co nie? – zauważa z lekkim uśmiechem Posey.

I właśnie wtedy ktoś puka do drzwi.

Spoglądamy na siebie w zaskoczeniu.

– O cholera. Więc jednak udało mu się tu dojechać? – Taters już biegnie do drzwi. Lecz kiedy je otwiera, na progu stoi nie Stephan, lecz jakaś drobna, przemoczona postać. Stoi, drżąc w płaszczu przeciwdeszczowym z szerokim, zakrywającym twarz kapturem. Niebo w oddali rozświetla błyskawica. To scena żywcem wyjęta z horroru, ale my z jakiegoś powodu stoimy jak wryci i nadal wpatrujemy się w tę postać.

– To nie Stephan – zauważa szeptem Hornsby.

I dokładnie w tym momencie uderza piorun. Brzmi to tak, jakby wałnął prosto w dach. Błysk oślepiającego światła i ogłuszający huk. Nieznajomy podnosi głowę i światło błyskawicy oświetla dolną połowę jego mokrej od deszczu twarzy, pozostawiając resztę skrytą w złowróżbnych cieniach. Uderzenie pioruna i ten nagły ruch postaci sprawiają, że cofamy się wszyscy, jakby odrzuceni jakąś niewidoczną siłą. Jaja skurczyły mi się z przerażenia i jestem pewien, że nie tylko mi.

– Jezu – rzuca słabym głosem Posey, zsuwając się ze swojego krzesła. – Diabeł! – Wyciąga dłoń i wskazuje prosto na postać.

Jestem pewien, że ma rację. Bo niby co to może być innego? Ale dlaczego Taters nie zamyka drzwi? Nie ogląda horrorów czy co? To właśnie dlatego ludzie kończą z rozplatаныmi siekierą czaszkami – nie zamykają na czas drzwi.

Wszyscy wstrzymujemy oddech, gdy postać powoli zsuwa kaptur i mówi:

– Nie, przysięgam, że nie jestem żadnym mordercą.

To dziewczęcy głos.

– Włącz światło na ganku, do jasnej cholery – komenderuję.

Taters naciska włącznik i naszym oczom ukazuje się twarz dziewczynki... tyle tylko, że to wcale nie jest mała dziewczynka.

To dziewczyna mniej więcej w naszym wieku z mokrymi blond włosami, przestraszonymi oczami i idealną twarzą w kształcie serca. Cała drży.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale mój samochód utknął w błocie. Zobaczyłam światła w oknach i dlatego przyszedłam. Macie tu zasięg? Albo telefon stacjonarny?

Za jej plecami rozlega się kolejny grzmot, a ona wzdyga się jeszcze bardziej.

– Nie. Sorry – oświadcza Taters i już zamierza zatrzaskać przed nią drzwi, ale Hornsby w porę go powstrzymuje.

– A co ty, do cholery, robisz?

Taters wygląda na zaskoczonego.

– No co? Przecież ona szuka telefonu, a nasze nie działają. Co jeszcze mógłbym jej powiedzieć?

– Spytaj ją, czy chce wejść do środka, idioto.

Taters przenosi wzrok z Hornsby’ego na dziewczynę i z powrotem.

– Przecież ona może być morderczynią – mówi, nie ścisząc głosu.

– Powiedziała, że nią nie jest – zauważa Posey, zbierając z rękawa okruszki chipsów.

– I co, mamy wierzyć jej na słowo? – dziwi się Taters.

Wszyscy spoglądamy na dziewczynę, jakbyśmy chcieli od niej jakiegoś kolejnego potwierdzenia. Kiedy uświadamia sobie, że czekamy, pospieszenie zapewnia:

– Naprawdę. Nie zajmuję się mordowaniem ludzi. Ba, nawet nie wiem, jak się to robi.

Taters przewraca oczami.

– Każdy wie, jak się morduje ludzi.

– Ale ja nie wiedziałabym, jak to zrobić, żeby nie zostawić śladów... – poprawia się po chwili namysłu.

Tatters się krzywi.

– Błagam. Przecież każdy wie, że wrzucenie ciał do rębaka załatwia sprawę.

– Jezu – reaguję w końcu. – Po prostu ją wpuść.

– A jeśli to jakaś psycholka? – nie daje za wygraną Taters. – Chcecie tu mieć wariatkę?

– Przysięgam, że nie jestem żadną psychopatką – wtrąca dziewczyna. – Po prostu chciałam skorzystać z telefonu...

– A jak ja już powiedziałem – przerywa jej Taters i robi teatralną pauzę – nasze telefony nie działają. Tak więc przykro nam z powodu wszelkich niedogodności, ale nie masz tu czego szukać. Do widzenia.

– Jasny gwint, stary, gdzie się podziały twoje maniery? – interwieniuje Hornsby, odpychając Tatersa na bok i szerzej otwierając drzwi przed gościem. – Wybacz naszemu kumplowi. On ma osobowość szóstki. Obcy w domu to jego największy koszmar.

– Moja najlepsza przyjaciółka też jest szóstką – odpowiada dziewczyna ze zrozumieniem w głosie. – Wiem, jak to jest. Na urodziny dałam jej wideodomofon Ring i powiedziała mi, że to był najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostała.

– Dałaś jej model Ring Doorbell Pro? – pyta wyraźnie zaintrygowany Taters, wyglądając zza ramienia Hornsby’ego. – A dokupiłaś jej do tego naświetlacz? Wiesz, że można je ze sobą sparować?

– Olej go. I chodź do środka – zaprasza Hornsby.

Dziewczyna nie rusza się jednak, uważnie nam się przyglądając.

– Och, nie chcę wam przeszkadzać. Skoro wasze telefony też nie działają, to chyba nie ma powodu, żebym wchodziła.

– A dokąd pójdziesz? – indaguje Hornsby.

– Nie wiem... Chyba wrócę do samochodu i tam przeczekać tę burzę.

– To może trochę potrwać. – Hornsby kiwnięciem głowy zaprasza ją do środka. – Serio, wchodź. Nie przeszkadzasz nam.

Dziewczyna ponownie się rozgląda, a kiedy jej oczy lądują na mnie, mam coś w rodzaju małego *déjà vu*. Wygląda... jakoś znajomo.

– Nie chcę, by zabrzmiało to niegrzecznie, ale widzę tu samych dużych facetów. A ja mam ze sobą tylko plecak z przekąskami, choć przyjaciółka błagała mnie, bym włożyła tam coś do samoobrony. Nie jestem pewna, czy to *wy* nie zamordujecie *mnie*.

– Przekąski? – ożywia się Taters.

– Tak... – odpowiada dziewczyna, cofając się odruchowo o krok.

– Ale nie oddam ci ich. – Hornsby bezceremonialnie odpycha Tatersa na bok. – Olej go. Ma niski poziom cukru we krwi. Owszem, jesteśmy duzi i możemy sprawiać wrażenie niebezpiecznych, ale nie jesteśmy mordercami. Jesteśmy Agitators.

Dziewczyna robi kolejny krok w tył.

– To nie brzmi zbyt zachęcająco.

– Vancouver Agitators – dodaje w celu wyjaśnienia Hornsby.

Wyraz lęku i niepewności na jej twarzy nie znika.

– Jesteśmy hokeistami – wyjaśniam. Dziewczyna przenosi spojrzenie na mnie. Ciemne rzęsy podkreślają jej lekko rozszerzone źrenice. Czuję na swojej twarzy jej wzrok, jakby był promieniem ciepła.

Ja ją skądś znam. Przysięgam, że gdzieś już ją widziałem... Ale gdzie?

– Nie oglądam hokeja – stwierdza, odwracając wzrok ode mnie.

Z naszych piersi jak na komendę wyrывa się jęk i Taters szybko przechodzi do kontrataku. Za każdym razem, gdy ktoś mówi, że nie ogląda hokeja – co nie zdarza się zbyt często, bo przecież mieszkamy w Kanadzie – to właśnie on stawia sobie za cel dowiedzieć się, dlaczego.

– Nie oglądasz hokeja? Masz ku temu jakiś powód? – Jego mowa ciała wskazuje, że jest gotów do walki.

– Hmm, mam ciekawsze rzeczy do roboty? – odpowiada, a za jej plecami wzmaga się wiatr, wrzucając krople deszczu do środka.

– Ciekawsze rzeczy? – powtarza Taters z niedowierzaniem. Potrząsa głową i wycelowuje palec w dziewczynę. – Widzicie? Miałem rację. Nie ma tu dla niej miejsca.

– Przestań pieprzyć głupoty – mityguje go Hornsby. – Nie każdy musi oglądać hokej. Czy ludzie podejmują złe decyzje w życiu? Tak, ale nie nam ich osądzać. Jesteśmy tu po to, by pomagać. – Odwraca się z powrotem do dziewczyny. – Spoko, my naprawdę nic złego ci nie zrobimy. To byłaby głupota. Wiesz, zła prasa i w ogóle. Jesteśmy miłymi chłopcami. Zapewniam.

– A skąd mam wiedzieć, że to prawda? Na serio jesteście hokeistami? Hornsby w odpowiedzi wyciąga telefon.

– Możesz sama zobaczyć.

– Internet nie działa – zauważam.

– Cholera. – Wsuwa telefon z powrotem do kieszeni i zastanawia się przez chwilę.

– Już wiem. – Wyciąga parasole ze stojaka przy drzwiach – jeden rzuca Poseyowi, drugi Tatersowi. Nie zawraca sobie głowy Holmesem, ponieważ wszyscy wiemy, że on przez cały ten czas nawet na chwilę

nie oderwał wzroku od książki. Podnosi korkową podkładkę ze stołika i mówi: – Pokażmy jej. Lawes, zrób bramkę.

– Serio? – pytam.

Hornsby spogląda na mnie chłodno.

– Tak, kurewsko serio.

Wzdychając, przesuwam dwa stołki barowe przed wyspę. Jej blat będzie poprzeczką, a krzesła słupkami. Przykucam, przyjmując postawę bramkarza.

– Teraz patrz uważnie, jak pokazujemy nasze mistrzostwo. – Hornsby, nasz obrońca, upuszcza podkładkę na podłogę i chwilę przesuwają ją tam i z powrotem czubkiem parasola. Wygląda to dość komicznie, kiedy tak próbuje naśladować ruchy rasowego napastnika. – Nie jest łatwo, bo mam przed sobą dwóch przeciwników. Holmes, przydałbyś mi się.

– Nie – dobiega nas głos z sofy.

Hornsby wzdycha i mówi:

– W takim razie, Taters, ty nie grasz. Niech będzie tylko dwóch na jednego.

– Nie ma sprawy. – Taters wycofuje się z gry. Siada na krześle i przykładając rączkę parasola do ust. – Będę komentatorem.

Ze skrzywioną miną patrzę, jak Hornsby zajmuje pozycję, a Posey staje przed nim. Stukają parasolami w podłogę, a następnie krzyżują je ze sobą. Powtarzają ten rytuał trzykrotnie, po czym Hornsby rusza do ataku. Ewidentnie chce zrobić wrażenie na dziewczynie – nie przeszkadza mu nawet to, że nie gra na swojej nominalnej pozycji. Posey też daje z siebie wszystko i wyciąga się, by dosięgnąć podstawki udającej krążek.

– Witamy na domowym pokazie hokeja parasolowego – ogłasza Taters. – Dzisiejszego wieczoru na bramce stoi Pacey Lawes. Szybki jak błyskawica, jest prawdziwą zmorą dla przeciwników przed siatką. Trzeba się bardzo postarać, by wbić krążek do bramki. A naprzeciwko mamy Eliego Hornsby’ego, ślizgającego się po drewnianej podłodze z zielonym parasolem w ręce. Walczy o utrzymanie podkładki jak najbliżej... Ba, walczy nawet o to, by utrzymać się na nogach na tej śliskiej podłodze. Myślę, że w tej chwili bardzo żałuje wyboru krążka...

– Żebyś wiedział – rzuca Hornsby dziwnie napiętym głosem.

– A z żółtym parasolem gra dziś jeden z najlepszych obrońców w lidze, Levi Posey, który nie boi się przyjąć krążka na ciało i marzy tylko o tym, by skończyć wieczór z kanapką z mortadellą, jest jak przyklejony do Horny’ego.

– Nie nazywaj mnie tak przy obcych – prosi Hornsby, obracając się w moją stronę. Nie spuszcza wzroku z podkładki, gotów do obrony każdego strzału.

– Horny już składa się do strzału, ale czy uda mu się pokonać Wielkiego Czipsojada? A może cała paczka ciastek zjedzona przez Poseya doda mu sił i pomoże odebrać krążek przeciwnikowi?

– Czujesz te ciastka w żołądku? – pytam.

– Czuję się lekki jak piórko – odgryza się Posey, sięgając parasolem po podkładkę.

– Chyba musiałbyś się rzucić – zauważa Hornsby, wymijając go zręcznie.

– Horny jest coraz bliżej bramki. Gol wisi w powietrzu. Czuję to – nie przestaje komentować Taters. – To jego popisowe zagranie. Zwód w lewo, zamach i...

Hornsby strzela, kierując podkładkę w lewą górną część „bramki”. Bez chwili zastanowienia sięgam w górę i łapię podkładkę. Hornsby nie miał nawet najmniejszej szansy.

– I Lawes broni! To była obrona, którą mógłby z łatwością wykonać nawet przez sen. To musi boleć naszego drogiego przyjaciela Hornsby’ego.

– A co z moją doskonałą obroną? – Posey także domaga się docenienia.

– Myślę, że pomogła ci ta paczka ciastek. Byłeś stabilny jak skała.

Rzucam podkładkę na ladę i ponownie siadam przy wyspie, podczas gdy Hornsby odstawia parasol do stojaka. Odgarnia włosy z czoła i spogląda na dziewczynę.

– I jak, pomogło ci to w podjęciu decyzji?

Dziewczyna stoi jak wryta, ściskając kurczowo paski plecaka i patrząc na to wszystko szeroko otwartymi oczami. Na jej twarzy maluje się totalna dezorientacja. Wcale się temu nie dziwię, choć przyznaję, że gotów byłbym całkiem sporo zapłacić za możliwość poznania jej myśli.

– Eee, chyba nie. To wszystko zrobiło się tylko jeszcze bardziej szalone... I ta ksywka... Horny. To też nie pomogło...

– Idioci – rzuca Hornsby.

– Hej. Proszę – odzywa się nieoczekiwanie Holmes, unosząc swój telefon.

Taters podchodzi do niego i spogląda na ekran.

– Masz w telefonie zdjęcie naszej drużyny? – pyta zdziwiony.

Holmes nie odpowiada i kontynuuje lekturę.

Hornsby bierze od niego telefon i zanoszą go dziewczynie, która uważnie przygląda się zdjęciu.

– A dlaczego się nie uśmiechacie? – pyta. – Przecież to zdjęcie drużynowe.

– Sportowcy nie powinni się uśmiechać na zdjęciach – wyjaśnia Taters. – My mamy przerażać przeciwnika.

– Ach, mówisz o tej minie? Bo wyglądasz bardziej tak, jakbyś miał zatwardzenie.

Wszyscy wybuchamy śmiechem, a Taters wrywa jej telefon z dłoni.

– Ale wiesz, że to jest mój dom? Ta uwaga raczej oddala cię od pozwolenia na wejście tutaj.

– Weź się uspokój, Taters – mityguje go Hornsby. – Prosimy, wejdź. Musisz się chociaż trochę osuszyć. Mamy krakersy, kanapki z mortadellą i mnóstwo piwa. Może się znów zacznie działać.

Blondynka nadal wydaje się niepewna, ale wchodzi.

– Pozwól, że ci pomogę – mówi Hornsby, wyciągając dłoń w jej stronę.

Dziewczyna zrzuca plecak, a następnie zdejmuję płaszcz przeciwdeszczowy, odsłaniając idealną figurę klepsydry. Nie da się jej nie zauważyć, bo ma na sobie czarne legginsy i obcisły czerwony top z głębokim dekoltem.

Cholera.

Chyba wiem, co myśli każdy facet w tym domu... oprócz Holmesa, który nie podniósł głowy znad książki – ta laska jest naprawdę gorąca.

Pytanie tylko, czy oni też mają *déjà vu*? Bo ja jestem niemal pewien, że już gdzieś ją widziałem.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —

- 
1. ZAREJESTRUJ SIĘ
 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

Jego miłość nadchodzi jak burza. Na to nigdy nie będziesz gotowa...

Ten wieczór zmienił wszystko. Potężna burza, chwila nieuwagi i samochód Winnie Berlin zsunął się do rowu. Dziewczyna musiała szukać pomocy. Trafiła do tajemniczego domu w sercu dzikiego pustkowia kanadyjskich gór. Przemoknięta i zmarznięta, marzyła tylko o gorącym prysznicu. Zapukała do drzwi. W środku znajdowali się mężczyźni. Młodzi, wyjątkowo przystojni, charyzmatyczni: hokeiści gwiazdorskiej drużyny Vancouver Agitators. Wśród nich znalazł się on, Pacey Lawes, bramkarz. Żywiolowy, pewny siebie, wspaniały.

Winnie nie miała wyboru. Musiała zostać na noc w małym domku i poddać się magnetycznemu urokowi Pacea. A ten od początku czuł do niej coś, czego nie sposób zignorować. Bardzo szybko zrozumiał, że na tej dziwnej burzowej nocy się nie skończy. W Winnie dostrzegł coś, czego nie miała żadna inna znana mu kobieta. Ta jedna noc odmieniła również jego.

Jednak miłość nie znosi tajemnic, a Winnie i Pacey mają ich więcej, niż chcieliby przyznać. Przez pewien czas wystarczyły pocałunki i zauroczenie. Ale nieuchronnie nadchodzi moment odkrywania tajemnic. Tajemnic, które mogą zniszczyć rozkwitające uczucie...

MEGHAN QUINN

Autorka bestsellerów z list „New York Timesa”, „USA Today” i #1 Amazona. Jest żoną, matką adopcyjną, a także wielką miłośniczką książek i... masła orzechowego. Mieszka w Colorado Springs. Píše idealne romanse z wciągającą fabułą i dużą dawką humoru.

© CUTE
© © SENSUAL
© © © SPICY
© © © © DARK



EDITIO.PL

ebook dostępny na:
ebookpoint



PL 06/15: mwp